NUMER 48. DNIA 9. GRUDNIA 1906 ROKU. ROK XIV.

TYDZIEŃ

DODATEK
LITERACKO-NAUKOWY „KURJERA LWOWSKIEGO"
POD REDAKCJĄ BOLESŁAWA WYSŁOUCHA.

FALE.

Idą fale, idą, idą, biegną
Ku mnie, ku mnie, coraz bliżej, bliżej —
W głąb mię porwą, przywalą, przylegną — —
Lecę w otchłań coraz niżej, niżej...

Tu dna niema — gdzie brzegi, gdzie brzegi?
Szumią, zawodzą wody —
Toną wieków umarłych szeregi
I ja tonę, ja — młody...

FELIKS GWIŻDŻ.

Adam Mickiewicz w „Trybunie ludów".

(La Tribune des peuples par Adam Mickiewicz, Paris 1907).

(Ciąg dalszy).

„Wielki naród" bierze więc na siebe misję wyzwalania narodów, t. j. wprowadzenia ich idei i uczuć w stan czynu. Ale czyż rewolucyjna Francja nie była zaborczą? Czyż nie uznawała ona gwałtu jako zasady politycznej? Mickiewicz to widzi i daje nam wspaniałą uwagę, pełną przenikliwości niezwykłej. „Sekciarze umowy społecznej — mówi Mickiewicz — nie brali w rachubę przeszłości dziejowej (precedensów historycznych) narodu, ani stosunków, istniejących między narodami". Stąd, mówi dalej poeta, empiryzm jako metoda, a siła brutalna jako sankcja.

Czytelnik jako tako obeznany z rewolucją francuską ma odrazu okres dziesięcioletni 1789 do 1799 przed oczyma. Mickiewicz robi wywody dalsze dla uzasadnienia swego mesjanizmu napoleońskiego, o którym mamy pomówić obszerniej. W tej jednak chwili chcemy zaznaczyć, że Mickiewicz ma słuszność, gdy w wojnach napoleońskich widzi szerszą akcję propagandy zasad rewolucji, aniżeli w wojnach Konwentu. Również pod względem zastosowania zasady narodowościowej, która to zasada zresztą jeszcze nie była wtedy sformułowaną, wojny napoleońskie stoją znacznie wyżej od wojen Konwentu w istocie tylko odpornych. Dlatego, że Mickiewicz później w swym mesjanizmie dyktatury napoleońskiej błądzi, nie trzeba odrzucać wszystkich jego przesłanek, z których większość jest zupełnie słuszna i zgodna z prawdą dziejową.

Ale czem jest narodowość? Mickiewicz widzi w niej uczucie rodziny i własności, a jednocześnie i uczucie religijne. „Jest coś religijnego w tem uczuciu" — woła poeta. I nie może on mówić inaczej, gdyż w uczuciu rodzinnem, jakie narodowość przedstawia, nie widzi on egoizmu, a uczuciem własności nazywa on uczucie przynależności danej ziemi do danego narodu. Element religijny nie oznacza wcale u Mickiewicza czynnika, na zewnątrz nas będącego. Religijnością u Mickiewicza jest cała etyka społeczna, jest atmosfera, oczyszczająca egoizm, jest reakcja przeciw utylitaryzmowi. Mickiewicza religijność katolicka jest ta sama, której się trzyma Emerson, protestant. Słowem „religijność" Mickiewicz rozwiązywał trudności wszelkie, jak dziś niektórzy rozwiązują wszystko słowem „socjologiczne". Ta różnica atoli zachodzi, że całe pokolenie Mickiewicza — (z gienjuszem bowiem nie robimy porównań) — które używało „religijności" jako miecza do rozwiązania węzła gordyjskiego poznania, jednocześnie działało i wytworzyło najpiękniejszy perjod z XIX. stulecia, podczas gdy

spółcześni komiwojażerowie słowa „socjologiczne“ rozwożą artykuł, który ich rozdyma, ale nie dodaje im treści. A ponieważ nasi komiwojażerowie „socjolodzy“ biorą wszystko z dziesiątej ręki, więc nie wiedzą o tem, jak w tym samym perjodzie rewolucyjnym socjologja była tylko inną formułą dla tego samego, co się nazywało u innych religijnością. Mickiewicz zresztą, jak wielu innych, poszedł o krok dalej i religijność widział doskonałą w formie chrześcijanizmu. Można atoli powiedzieć, że nieraz, choć nie zawsze, Mickiewicz chrześcijanizm uważał raczej za religijność. Chciał on kościoła tak samo, jak Comte chciał kościoła i, co ważniejsza, widział koniec kościoła istniejącego w tem, że on nie zsolidaryzował się z rewolucją i z kwestją narodowościową.

Narodowość bowiem, mówi Mickiewicz, jest elementem organizatorskim. Innemi słowy, państwo wolne musi oprzeć się na narodowości wolnej. I dlatego, że kościół ówczesny tego nie widział, ludy z 1848 roku rzucają klątwę na ołtarz tak samo, jak na korony; i dlatego, że całe prawo państwowe nie uwzględnia narodowości, ludy potępiają „prawo i porządek“.

Przeciw Piusowi IX. stawia on Mazziniego i rewolucjonistów rzymskich — przeciw kościołowi urzędowemu stawia on wiarę legjonów w rokosz. Ci ostatni posiadają żywioł organizacyjny, podczas gdy kościół, korony, prawa i porządek są pogrążone w ciemnościach i stały się rozsadnikiem zła. I Mickiewicz urąga polityce „katolicyzmu urzędowego“, ma słowa pogardy dla tych, którzy „groszem piotrowym“ chcą uzbroić „miecz piotrowy“. Wskazując na legjony rewolucyjne, poeta nasz woła Rzymowi: Jedno dzieło masz do naśladowania, „dzieło skruchy piotrowej“.

Słowa te wieszcza najpotężniejszego, jakiego Polska wydała, dziwnie brzmią dziś, gdy Rzym szabelką drewnianą wygraża się republice francuskiej, nie mając ani słowa, ani giestu w obronie dziatwy poznańskiej, wyrywanej z objęć rodzicielskich i wysyłanej do domów poprawczych.

Nie ulega wątpliwości, żeśmy dziś w wielu rzeczach oddaleni od form myślenia Adama i jego epoki. Te formy myślenia zaciemniają jego treść, ale trzeba się wsłuchać czasami w słowa, które już przebrzmiały, bo echo ich do dziś dnia może się rozlegać w duszy, wrażliwej na ciągłość dziejową. Jeżeli Adam Mickiewicz nie daje nam określenia narodowości, to je odgaduje, widząc w narodowości element organizacyjny i religijny w znaczeniu kultu zbiorowości dziejowo powstałej.

III.

Mickiewicz jest rewolucjonistą zarówno w pojmowaniu życia społecznego, jak i w metodzie, którejby on chciał użyć dla wcielenia nowych „idei i uczuć“ w czyn.

„Prawo zaprzeczenia prawowitości porządku starego — mówi Mickiewicz — już zdobytem zostało“. Ten świat stary jest ohydnym, obraża wszystkie nasze uczucia, nie ma sił żywotnych ani zdrojów organizacyjnych. I dlatego, że „religijność“ jest kryterjum Mickiewicza, podnosi on rokosz nie jako jednostka, ale jako *adscriptus glebae* całego świata europejskiego, jako atom wielkiej całości, korzący się przed całością, rozpływający się w całości. „Zanim — mówi Mickiewicz — skierujemy wysiłki nasze na rzecz jednostki, trzeba rozwiązać wszystkie zadania żywotne Francji, i nietylko Francji, ale Europy całej, świata całego; trzeba jednem słowem rozwiązać wielkie zagadnienie europejskie. Po tem, dopiero po tem, wybije godzina dla interesów cząstkowych“.

Tak mówi *civis romanus*, obywatel wielkiej uniwersalności. I Adam dodaje: „Dowiedźmy światu, że orleanizm zadaje kłam prawdzie, kiedy twierdzi, że rewolucjoniści to ludzie, którzy nie posiadają a chcą posiadać“.

Kryterjum obywatela uniwersalności jest „religijność“. „*Man the reformer*“ — Człowiek reformator, mówił Emerson, którego zresztą Mickiewicz tłómaczył, żyje w atmosferze religijnej, ma swoją religję, bo korzy się przed całością, przed zasadą wieczną — regulatorem życia ludzkiego. W tem znaczeniu całe pokolenie, walczące od 1825 do 1848 roku, było religijnem, jak nim był i Proudhon, chłoszczący zabobony i korzący się przed Sprawiedliwością. Ta religijność, to nowa świadomość, nowa świadomość prawowa, jak byśmy się dziś wyrazili, a ludzi łaknących czynu zamienia w rewolucjonistów. Z chwilą, gdy prawowitość porządku starego nie istnieje, trzeba zbudować świat nowy, bo w chaosie żyć nie możemy.

Rewolucjoniści — mówi nasz poeta — powinni zwalczać lenistwo, obojętność i słabość swego otoczenia, powinni świecić przykładem czynu i energji, powinni być iskrą, która wszystko zapala na około nich i zamienia w płomień wielki czynu; inaczej autor „Ody do młodości“

mówić nie mógł. A dosłownie dodaje on, że rewolucjoniści powinni pamiętać o tem, „że w rewolucji trzeba być rewolucyjnym, a gdy się nim nie jest, to się upada“. Każda swoboda ma dla poety naszego, który nie chce być jednostką, póki nie spełnił zadania obywatela, pytanie uprzednie, co z tą swobodą zrobić można, co się z nią zrobi? Kiedy w Zgromadzeniu Narodowem mówią o zamykaniu klubów, to Mickiewicz konstatuje obojętność mas i dodaje — i widzimy ogień w jego oczach, wyzywających przestrzenie — „Lud chce wiedzieć, co mówić będą w klubach“. Temu *civis* zawsze idzie o to, jaką korzyść wyniesie uniwersalność, a korzyść mieć ona może tylko z czynu.

(C. d. n.). *S. M.*

Lwowskie znaki bibljoteczne.

(Ciąg dalszy).

III.

Kajetan Wincenty Kielisiński.

Wchodzimy w najbujniejszy okres historji bibljotek lwowskich, dużych a doborowych i niezrównanych zbiorów, w wielkim stylu zbieraczy i mecenasów, w okres artystycznego ex-librisu. Rzecz dziwna, jak w czasach zastoju i upadku we wszystkich dziedzinach życia publicznego wzmogło się w Galicji, a specjalnie we Lwowie amatorstwo książek, rycin i obrazów i jak równocześnie z najzupełniejszą obojętnością społeczeństwa dla pamiątek przeszłości, jednostki umiały je kolekcjonować z takiem znawstwem, zamiłowaniem, drobiazgowością, jak nigdy przedtem, ani potem. Wystarczy powiedzieć, że wówczas, kiedy nikomu nawet na myśl nie przyszło zwracać uwagę na ex-librisy bibljotek publicznych i prywatnych, zbierali je we Lwowie skrzętnie Aleksander Batowski i Gwalbert Pawlikowski, zostawiając zbiory, które przez pół wieku leżały jak najzupełniej zapomniane, wcale nie kompletowane, ani opracowywane. I trzeba było odtąd czekać więcej niż lat pięćdziesiąt na pierwszą książkę polską o ex-librisach, więcej jak pół wieku na pierwszy konkurs w tym zakresie i na artykuł Sadowskiego w „Chimerze“, zwracający uwagę na estetyczne i kulturalne znaczenie ex-librisu.

To, co się dzisiaj pisze i mówi o ex-librisach miało we Lwowie swoich znawców i wykonawców jeszcze w pierwszej połowie ubiegłego stulecia, miało na swe usługi pierwszorzędny rylec artysty. I jeżeli badacz lwowskich znaków bibljotecznych zniechęci się nawet wobec braku wszelkich artystycznych aspiracji na wielu ex-librisach, to trafiwszy na działalność Kajetana Wincentego Kielisińskiego w tym zakresie, dozna najzupełniejszej satysfakcji.

Artystyczna indywidualność Kielisińskiego czeka jeszcze krytycznego rozbioru, na sztychowane zaś przez niego ex-librisy nawet nikt uwagi nie zwracał. Nie znalazły też one pomieszczenia, z wyjątkiem jednego, w wydanym w r. 1853 albumie prac jego. A jednak ozdobił on wszystkie prawie większe bibljoteki lwowskie ex-librisami, projektował je, rytował po nad potrzebę nawet, jakby do wyboru, igrał z nimi formalnie, dając im wszystkie właściwości i cechy swojego rylca, a nawet artystycznego temperamentu. Uczeń Jana Piwarskiego, żołnierz wojsk polskich, oficjalista wielkich panów, przyjaciel żyjącej przyrody, kuropatw, jeżów, sów, myszy polnych, które hodował i przyswajał we własnem mieszkaniu, dusza wielce artystyczna, kulturą dawnych wieków owiana i na dziejowe pamiątki z miłością patrzeć umiejąca, jest Kielisiński postacią dziwnie miłą i swojskm urokiem ku sobie pociągającą. Przez pięć lat, od roku 1834 bawił w Medyce u Gwalberta Pawlikowskiego i zbierał z nim razem, porządkował zbiory jego, rysował zabytki architektury, stroje ludowe, krajobrazy, przenosił je na blachy, rytując za pomocą kwasu saletrzanego, metodą *aqua forte*. I powstawały sztychy, malutkie zwykle rozmiarami, z zarysowaną szczegółami i szczególikami powierzchnią, ze wszystkiemi zaletami, oraz wadami rysunku i perspektywy, takie charakterystyczne, na pierwszy rzut oka rozpoznać się dające sztychy Kielisińskiego. A pomiędzy nimi ex-librisy — dużo exlibrisów. Dla samej bibljoteki Pawlikowskiego wyrytował ich Kielisiński sześć, dla Ignacego hr. Łosia trzy, dla Aleksandra Batowskiego, dla Adama Rościszewskiego, dla Józefa hr. Dzieduszyckiego, dla Augusta Wysockiego, a potem takie ex-librisy, który nigdy nie były naklejane na książki, próby, projekty, żarty ex-librisowe, czasem nawet bez napisu, czasem znowu z napisem

dodatkowym na inną jakąś okoliczność. Tutaj należą, obok innych, które później wymienione będą, dwa bardzo piękne projekty ex-librisu dla Seweryna Grodzickiego, ofarowane później jako bilet z powinszowaniem noworocznem, lub własny, żartobliwy ex-libris Kielisińskiego, ze śmiercią, płachtą, porozrzucanymi księgami etc.*),

Nie wszystkie ex-librisy współczesne rytował Kielisiński, ale on na tym znaku bibljotecznym wycisnął swe artystyczne piętno, on kazał wrócić do dawnych, dobrych tradycji sztycharstwa polskiego, on wreszcie na taki drobiazg artystyczny przeniósł cały gust i sentyment swojego czasu, owe krzewy płaczące, kamienie jakby nagrobne, tablice pamiątkowe, lub archaiczne pieczęcie. Kielisiński jest więc twórcą nowego exlibrisu polskiego, twórcą, który tak mało niestety znalazł naśladowców i następców.

Żył zresztą Kielisiński w czasach, kiedy zbieranie książek i pamiątek przeszłości było prawie że jedynem możliwem, wobec politycznego ucisku, polem pracy narodowej. Ani ruchu umysłowego, ani ognisk literackich, ani pracy — cenzura patrzyła argusowem okiem na każde słowo drukowane. To też w braku tego wszystkiego, wytworzył się u nas typ światłego mecenasa, tworzącego prywatne ogniska oświaty i kultury, typ takiego przyjaciela muz, jakim był adwokat Józef Dzierzkowski, Pawlikowski, Batowski, Baworowski, August Wysocki i tylu innych. Stąd powstają wielkie, istniejące po dziś dzień zbiory, i mniejsze, rozsypujące się po śmierci każdego właściciela, stąd też urosło zainteresowanie się księgozbiorami, ich poszukiwania i opisy, wiadomości podawane o nich i wzmianki, takie naprzykład, jak Augusta Bielowskiego **), Maurycego Dzieduszyckiego***) i wielu innych, bezimiennych autorów****).

— Pierwsze miejsce wśród zbieraczy i amatorów ubiegłego stulecia należy się A l e k s a n d r o w i B a t o w s k i e m u (1799—1862). Nietylko dlatego, że cały majątek poświęcił na swoje zbiory, ale głównie dlatego, że był pierwszorzędnym znawcą książek i bibljografji, że umiał zbierać wszechstronnie, że wreszcie pierwszy u nas przyszedł do przekonania, iż kolekcja, choćby

*) W zbiorach bibljoteki Baworowskich we Lwowie.
**) Bielowski o bibljotekach lwowskich. „Dziennik literacki“ r. 1852.
***) M. D. Lwowskie zbiory numizmatyczne. Tamże.
****) Por. „Czas“ z r. 1856 i 1857, artykuły o bibljotece Pawlikowskich i Baworowskich.

pozornie najbłahszych rzeczy przedstawia w swojej masie, całości i komplecie zawsze dużą wartość. Był wreszcie Batowski uczonym historykiem, skrzętnym zbieraczem materjałów i źródeł historycznych, był wreszcie autorem kilku bardzo dobrych, większych prac historycznych i mnóstwa drobnych rozprawek i artykułów, po czasopismach rozrzuconych.

Aleksander Batowski, pan na Kulikowie i Odnowie z Doroszowem, za młodu używał świata w całej pełni. Dopiero później pociągnęła go ku sobie bibljografja i idąca za nią chęć posiadania rzadkości bibljograficznych. Jakoż niebawem powstał w Odnowie duży księgozbiór, złożony po większej części z dzieł rzadkich i cennych, tudzież bogaty, ze znawstwem gromadzony zbiór rycin. Według wydanego drukiem katalogu *) bibljoteka Batowskiego składała się z 5135 numerów druków, 107 rękopisów i 212 map, kart geograficznych etc., nie licząc rycin.



Ex-libris Aleksandra Batowskiego ze zbiorów Pawiikowskich.

W dziale r ę k o p i s ó w zwracają uwagę Józefowicza Kronika miasta Lwowa, djarjusz elekcji Władysława IV., „Katalog Targowiczan, sejmowych grodzieńskich, z r. 1793, tudzież nieprzychylnych powstaniu Kościuszki“, sporządzony alfabetycznie i współcześnie, dalej jeden tom Tomicyanów, wiele pamiętników i *silva rerum* z XVII. i XVIII. wieku, „Papiery deputacji wiedeńskiej 1790—1792“ za czasów Leopolda II. i jego autonomicznych zamysłów, zbiór dyplomów wol-

*) Katalog bibljoteki Odnowskiej w przedaż przeznaczonej. Lwów 1852.

nomularskich, a wreszcie niewielki, ale ciekawy zbiór autografów.

Druki podzielone były na a) polskie i do piśmiennictwa polskiego należące, b) dzieła klasyczne i dzieła obce, w różnych językach pisane. W dziale polskim, obok wielu druków starych i rzadkich, cenny był bardzo i bardzo obfity zbiór uniwersałów, listów, mów, kazań, wierszy ulotnych, panegiryków etc., oraz kompletny prawie zbiór druków ulotnych z r. 1848.

Smutny był los tej bibljoteki. Zniewolony stosunkami majątkowymi musiał Batowski sprzedać swe dobra, a sam razem z bibljoteką osiadł we Lwowie. Tutaj dopiero bieda naprawdę poczęła zaglądać do oczu bibljografa, tak, że bibljoteka jego musiała pójść na sprzedaż. Kupił ją na szczęście w bardzo znacznej części Wiktor hr. Baworowski i wcielił do swego księgozbioru. Ryciny ulokował Batowski najpierw w Ossolineum, a uporządkowanie ich powierzył Szczęsnemu Morawskiemu. Później z powodu nieporozumień, wybuchłych między nim a dyrekcją Zakładu, przeniósł je do bibljoteki Baworowskiego, w której do dziś pozostają.

Straciwszy w ten sposób majątek i bibljotekę, oddał się Batowski pracy naukowej. Porządkował rękopisy bibljoteki Ossolińskich, gromadził materjały historyczne do czasów panowania Zygmunta III., drukował wiele prac historycznych i bibljograficznych w „Dzienniku literackim“, w „Rozmaitościach“, w „Słowie“, wydawanem w Petersburgu przez Jozafata Ohryzkę i t. d. W rękopisie zostawił 12 tomów p. t. „Rozpoznanie rękopisów bibl. Ossolińskich, „Ważniejsze rękopisy bibl. Wiktora Baworowskiego“ i „Pamiętnik czyli djarjusz r. 1848“.

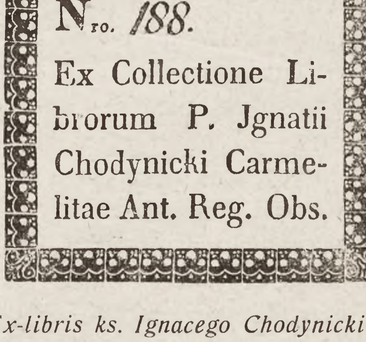
Na kilka lat przed śmiercią usunął się ze Lwowa w swoje rodzinne strony*). W pobliżu swego, niegdyś dziedzicznego Doroszowa, w młynie nad rzeczułką, wijącą się po rozległej łące, wynajął pan na Kulikowie dwie szczupłe izdebki i w nich, po kilkuletniej jeszcze pracy, życia dokonał. Śmierć zaskoczyła go nad książką, z piórem w ręku. Zwłoki złożono na wiejskim cmentarzu w Doroszowie.

Aleksander Batowski był zbieraczem w wielkim stylu, bardzo pomysłowym, a przedewszystkiem drobiazgowym. Nie gardził niczem, co razem wzięte stanowić mogło kolekcję. On pierwszy począł gromadzić ex-librisy, bilety wizytowe, których, dzięki jemu, piękny zbiór posiada bibljoteka Baworowskich, a nawet etykietki kupieckie, medaliki religijne, obrazki święte i t. d. i t. d. Przyjaciel wszystkich współczesnych amatorów, a głównie Wiktora Baworowskiego, był on duszą jego bibljoteki, którą, sam niemając pieniędzy na zakupno książek, pomagał kompletować radą swoją i doświadczeniem.

*) Wł. Zawadzki: Literatura w Galicji, Lwów 1878.

Odnowska bibljoteka Batowskiego posiadała dwie odmiany ex-librisu. Podobiznę jednego z nich podajemy powyżej. Był to ex-libris główny, naklejony na książkach. Ponadto sporządził mu Kielisiński drugi ex-libris w *aqua forcie*, przedstawiający na tle tarczy herbowej, rodzaj pieczątki z herbem i napisem: „Z zbioru Aleks. Kons. Batowskiego“, w otoku zaś biegnie gotyckiemi literami wypisana łacińska dewiza „*parcere subjectis et debellare superbos*“.

— Niewiadomo jaką pod względem ilości i jakości bibljotekę, ale natomiast aż trzy odmiany drukowanego ex-librisu posiadał mnich zakonu Karmelitów ks. Ignacy Chodynicki († 1846), autor „Dziejów historyczno-politycznych Europy“ (1817). „Historji miasta Lwowa“ (1828), „Dykcjonarza uczonych Polaków„ i „Wiadomości o klasztorach karmelitańskich w Polsce“. Z dzieł przez niego napisanych, możnaby łatwo skonstruować zawartość jego bibljoteki, ale skutek nie wynagrodziłby fatygi. Był bowiem ks. Chodyniecki kompilatorem w najgorszym stylu. Brał z drugiej ręki bezkrytycznie, głównie z dzieł Naruszewicza, Czackiego, Ossolińskiego i t. p., tam zaś, gdzie korzystał z rękopisów, nie umiał zachować miary, ani odróżnić plewy od ziarna. Mimo to jednak jest on pierwszym historykiem Lwowa, a chociaż mu daleko było jeszcze do korzystania ze źródeł archiwalnych, umiał przecież zużytkować Zimorowicza i Józefowicza, których posiadał w rękopisie.



Ex-libris ks. Ignacego Chodynickiego ze zbiorów Pawlikowskich (w zmniejszeniu).

Jak sama naukowa indywidualność, tak też niczem nie odznacza się ex-libris ks. Chodynickiego, po za tem, że jest, i po za tem, że w czasach rozpraszania się i masowego niszczenia bibljotek klasztornych znalazł się mnich, który nie tylko sam zbierał książki, ale oznaczał je własnym ex-librisem. Co się stało z bibljoteką ks. Chodynickiego, nie wiadomo, to tylko pewna, że część jej przynajmniej wyść musiała z celi klasztornej na świat, gdyż ex-librisy z niej trafiają się dziś jeszcze bardzo często.

(C. d. n.). *Fr. Jaworski.*

BRONISŁAW SZWARCE.

PAMIĘTNIKI.

(1834 — 1903).

(Ciąg dalszy).

Ale chociaż taka jezuicka nauka była w wielu wypadkach nauką ogłupienia i hodowała mądralów, piszących przy maturze po francusku, jak ostatnia kucharka, pod jednym względem ówczesne gimnazja przewyższały dzisiejsze szkoły średnie niemieckiego autoramentu, pod względem niezawisłości uczniów i moralnego kierunku. Za złe postępowanie i małą pilność karano, bardzo nawet ciężko, ale nie cieleśnie; za pilność i postępy dawano nagrody, czasem wcale cenne — ale karjera ucznia wcale od samowoli nauczyciela nie zależała. Jeślim się znośnie prowadził, mogłem przejść cały kurs szkolny, nikt mi przejścia z klasy do klasy zatamować nie mógł. Jedyną karą mojego lenistwa, czy mojej tępości był brak nagród, siedzenie na ostatniem miejscu i codzienne prawie *pensa*, w postaci przepisywania łacińskich wierszy, lub nieskończonych konjugacji. Zato jaki honor, kiedy przy rozdawaniu nagród przed wakacjami wkładano ci na głowę wobec tryumfujących tatusiów, mamulek i cioć, przy oklaskach zazdrosnych kolegów i dźwiękach szkaradnej orkiestry (już to Francuzi muzykalnością nie grzeszą) przepyszny wieniec wawrzynowy i wręczano jakiegoś Pauzaniasza czy Ksenofonta, czasem wcale cennego Froissard'a czy de Commines'a! Mam ja dotychczas okazy takich szkolnych nagród, mające przyzwoitą, nietylko bibljograficzną, ale rzeczową wartość; bom często tyle tego bobkowego liścia do domu przynosił, że starczyłoby na sto kapuśniaków. A z każdego przedmiotu były dwie nagrody w książkach i ośm wzmianek zaszczytnych *(accessit)*, muszących się zadowolnić orkiestrą, bez bobka i pergaminowej oprawy.

Nie dość na tem; w Paryżu, gdzie było wiele gimnazjów, urządzano jeszcze z końcem roku szkolnego zawody najlepszych uczni ze wszystkich szkolnych przedmiotów *(concours général);* to ubieganie się o wyższe nagrody odbywało się w Sorbonie, gdzie zamykano kandydatów, dając im tematy dla pisemnych zadań. Konkursowa nagroda była szczytem honoru i dawano ją z taką samą pompą, z taką samą, ale trochę lepszą orkiestrą, w gmachu Akademji Nauk *(Institut de France)*. Byłeś ucałowany i uwieńczony już nie przez pana prowizora (dyrektora), ale przez samego ministra publicznego oświecenia!! Takim sposobem zostałem zaszczycony przez ludzi, należących teraz do historji literatury, przez Villemain'a i Guizota, zacośmy się ostatniemu z nich odpłacili kolosalną manifestacją (było to w r. 1846), wrzeszczeniem Marsyljanki i wymyślaniem na Anglików, z którymi Guizot miał ścisłe przymierze — lepsze, rozumie się, niż dzisiejsze franko-rosyjskie. A w owych barbaryńskich czasach nikt z nas się nawet za to do kozy nie dostał — coby na to powiedział hr. Stanisław Tarnowski?! Warcholstwo w Akademji Nauk!

Była jeszcze jedna uroczystość szkolna, dziwna mieszanina naiwności, niedorzeczności i rozczulającego uczucia koleżeńskiego, poczerpniętego jeszcze ze średnich wieków. Było to święto Karola Wielkiego *(la Saint Charlemagne)* 21. stycznia. Chociaż nigdym nie słyszał, by ów pierwszy niemiecki cesarz, poprzednik Wilhelma II., czy Franciszka Józefa, jak kto sobie życzy, który tyle miał żon, co Henryk VIII. angielski, był zaliczony w poczet świętych kościoła katolickiego. Szkodliwem było to, że ów Niemiec, samozwańczy przywłaściciel rzymskiej korony, uważany był przez nas jako najrzetelniejszy francuski bohater i dotychczas, zdaje się, Francuzi się na tym śmiesznym, historycznym kalamburze nie poznali; on to właśnie doprowadził Napoleona I. do zguby. Ale dodatniem było to uczczenie odrodzenia łacińskich nauk w Gallji po wiekowym niemieckim rozboju i rozczulającem brataniu się we wspólnej biesiadzie profesorów z uczniami. Cielęcina była wprawdzie bardzo niesmaczna, wino nale-

żało do farbowanych, najgorszego gatunku, orkiestra była ultra-francuską — ale wynosiło się z tego refektarza poczucie członka „Uniwersytetu francuskiego“, a nie gemajna pułku szkolnego, pod buławą jakiegoś Bobrzyńskiego.

Dodam, że gimnazjum nasze nie było internatem, a więc nie oblekało nas w mundury; owej przeto lokajskiej skóry nigdy przez całe swoje życie nie zaznałem, oprócz, rozumie się, późniejszego „uniformu“ katorżnego Najjaśniejszego Gotorpa.

System nauczania był więc bardzo zacofany, ale system wychowania — niech mi postępowcy wybaczą — daleko moralniejszy od dzisiejszego. Sami królowicze ówcześni, synowie Ludwika Filipa, przechodzili przez szkołę średnią i żadnych nagród konkursowych nie otrzymywali; o żadnych samobójstwach za złą notę nigdy nie słyszałem. Bo też teraźniejszą metodę klasyfikacyjną mógł wymyśleć tylko brandeburski feldfebel.

Bądź co bądź klasycyzm szkół francuskich musiał koniecznie doprowadzić do owej szalonej nienawiści, którą dziś prześladują wszędzie nauczanie, a raczej kucie języków starożytnych; przeklinają głównie greczyznę, uważaną niegdyś jako jednę z najszczytniejszych zdobyczy Odrodzenia XVI. wieku. Bo ileż się sił zmarnowało! Ileż młodzieńczych umysłów formalnie zgłupiało skutkiem bezmyślnego przerabiania najniedorzeczniejszych gramatycznych wymysłów! A jednak śmiem twierdzić, że to antyklasyczne szczucie jest nietylko nieuzasadnione, ale wprost szkodliwe, dopóki przynajmniej się nie przekształci całego umysłowego podkładu teraźniejszej nauki i tak zwanej „kultury“, Przeciw takiej gruntownej zmianie nie mam zresztą nic do zarzucenia i im prędzej ona nastąpi, tem lepiej będzie dla całego świata. Zastanówmy się trochę nad tą palącą kwestją.

Cała nasza europejska cywilizacja opiera się w y ł ą c z n i e na spuściźnie, przekazanej nam przez Rzym starożytny, a przyjętej przezeń od Greków — dodaliśmy tylko nieliczne, ale bardzo ważne semickie, właściwiej mówiąc, żydowskie, moralne, obyczajowe pierwiastki. Cały skład naszej europejskiej myśli jest czysto greko-łaciński, mnóstwo pojęć bez łaciny i greczyzny zrozumiane być nie mogą, osobliwie u zachodnio-europejskich narodów. Zastąpienie dawnego klasycyzmu przez nowożytne, osobliwie zachodnie mowy, zaciemniło najzupełniej te pojęcia, ale jedynie z powodu złego tłómaczenia; ani Francuz, ani Anglik, ani Niemiec nie mogą wyrazić d o k ł a d n i e łacińskiego pojęcia i powstała przeto w umysłach istna wieża Babel. Gdy dodamy do tego jezuicki, iście idjotyczny system klasyczny, nie dziw, że przodujące umysły tych zachodnich narodów doszły do przekonania, że klasycyzm jest szkodliwym balastem i dążą do jego usunięcia. Takie przekonanie jest atoli bardzo przesadzone. Języki nowołacińskie, będące poprostu narzeczami łaciny, przerobionej głównie podług galskiej czy semickiej bezdeklinacyjnej normy, nie mogą się obejść bez mowy macierzy, bo wszystkie ich pojęcia, osobliwie wyższe, czyli o d e r w a n e, są z niej zaczerpnięte — gdyby więc łacinę wyrzucono, wyglądałoby tak, jakby usunięto u nas Zygmuntowską polszczyznę, na której oparło się całe Mickiewiczowskie odrodzenie. To samo by się stało, gdyby u wschodnich Słowian wyrugowano zupełnie starocerkiewny język, na którym oparł się cały ich rozwój umysłowy.

W takiem samem położeniu znajduje się mowa angielska, dziś jedna z najważniejszych na świecie; tak jest przesiąknięta łaciną, że zupełnie by ją trzeba przekształcić, gdyby się pozbyto starego klasycyzmu. Jeszcze gorzej u Niemców. Tam możnaby wprawdzie, jak u nas, wyrzucić wszystkie łacińskie wyrazy, albo przetłumaczyć je i spróbowano to na początku XIX. wieku; ale się to nie udało i udać nie mogło, bo sama niemczyzna, będąca pierwotnie gwarą zupełnie dzikich narodów, jest tak biedna i mało wykształcona, że najprymitywniejsze, cywilizowane pojęcia w niej nie istniały przed poznaniem łacińskiego świata. Więc niemieccy uczeni przywłaszczyli sobie po prostu wzięte żywcem z łaciny wyrazy i pojęcia *haben*, *herr*, *recht*, *reich*, *schreiben*, *lesen*, *kirche*, *burg* i t. p.*) i na zasadzie bezczelnej indogermańskiej teorji przyznali je za *urdeutsch*, praniemieckie; tak zawsze Niemcy postępowali od wieków i postępują z kradzioną własnością — *suum cuique rapuit**).

Klasycznych zatem języków teraźniejsza Europa obsolutnie pominąć nie może; nowołacińskie narody z musu opierają na nich całą swoją umysłowość, tak samo półłacińscy Anglicy; dla Niemców ich wyrzucenie jest połączone z ogromnemi trudnościami; jedni Słowianie, Litwini i Węgrzy, po części Celtowie, mogliby się

*) Pojęcia nowsze, cywilizowane: mieć, pan, prawo, państwo, pisać, czytać, kościół, gród i t. p.

**) Godło państwa pruskiego: każdemu swoje, a sparodjowane znaczy: od każdego własność odebrał.

zupełnie bez nich obejść, pod warunkiem, że przetłumaczą i przyswoją sobie umiejętnie wszystkie cywilizowane pojęcia, od Greków i Rzymian pożyczone.

Ale im dalej, tem takie przyswojenie staje się trudniejszem, bo po romantycznej reakcji pływamy dzisiaj „pełnemi żaglami“ na „fluktach“ klasyczności. Niema nowego wynalazku, niema nawet szuwaksu, proszku do zębów i garneczka, którychby teraz nie nazywano z grecka; po telegrafach, organizmach, ozonach, azotach, fotografjach i t. p. sypią się się najdziwaczniejsze socjologje, anewryzmy, newrozy, hypnozy, bakcyle, odole, kalodonty, syndetykony i t. p. ku większej chwale oszustów i większemu ogłupieniu prostaczków. Kiedy przeciętny śmiertelnik przestanie mieć pojęcie o języku Cycerona i Arystotelesa, któż go wtedy obroni od wyzysku tej chmary szarlatanów i samozwańców naukowych, wścibiających mu pod niezrozumiałemi nazwiskami najdziwaczniejsze, a często najszkodliwsze wymysły? Jak XVIII. wiek i początek XIX. usunęły po większej części obrzydliwe makaronizmy XVI. i XVII., tak XX. wiek powinien się pozbyć tych szkodliwych naleciałości, dla utrwalenia których proponuję dziś zupełne usunięcie ich logicznego źródła *ad majorem latronum gloriam* *).

*) Ku większej chwale złodziei.

(C. d. n.).

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Andrzej hr. Zamoyski: „Moje przeprawy“ t. 2.

Sądząc po nazwisku autora, „Przeprawy“ powinneby obudzić zainteresowanie, tak ze względu na osobę autora, jak i przedstawionych w nich zdarzeń. Ktoby jednak tak sądził, srodze musiałby się zawieść — bo ani osoba Zamoyskiego nie odegrała tym razem ważniejszej roli, ani wypadki w nich opowiadane, wiele nowych a prawdziwych szczegółów nie przynoszą.

Pamiętnik ten odnosi się bowiem do czasów powstania r. 1831 i przedstawia dwie podróże Zamoyskiego do Wiednia dla skaptowania kierownika polityki austrjackiej, Metternicha, dla sprawy polskiej.

Obie podróże w rezultacie zupełnie się nie udały, mimo to cała książka przepełniona jest rozmaitymi memorjałami i sprawozdaniami z tej małoznacznej w ogólnej robocie, imprezy — co tylko wychodzi na niekorzyść ich autora. Bo według nich sądząc, hr. Andrzej okazał się zupełnie niedoświadczonym, dającym się łatwo powodować wpływami obcymi, a jednak przytem mającym dość wysokie o swoich lichych robotach przekonanie.

To naturalnie nie powinno ubliżyć jego działalności, ze wszech miar pożytecznej, lat późniejszych do r. 1863, zwłaszcza na polu przemysłu i gospodarstwa krajowego.

Strona wydawnicza szwankuje pod niejednym względem. *b*

NOTATKI.

Dziwne losy medalu. Na pamiątkę rzezi unitów w Chełmszczyźnie wydał w r. 1874 komitet, w którego skład wchodzili podobno Kornel Ujejski i Wacław Koszczyc, medal bronzowy z wyobrażeniem na jednej stronie krzyża z cierniową koroną, herbami Polski, Litwy i Rusi, oraz napisem „Braciom Rusinom, pomordowanym przez carat moskiewski, za wierność dla Kościoła i Polski“. Na odwrotnej stronie, w otwartej księdze, z napisem „Martyrologja polska“, wyryto nazwiska pomordowanych włościan: Andrzejuk Jan, Bazyluk Wincenty, Bocian Teodor, Bojko Konstanty, Bojko Łukasz, Charytoniuk Trochim, Charytoniuk Andrzej, Franczuk Ignacy, Franczuk Michał, Hawryluk Maksym, Hryciuk Nicety, Karmaszuk Daniel, Kiryluk Filip, Łukaszuk Konstanty, Osipiuk Bartłomiej, Pawluk Szymon, Romaniuk Jan, Tomaszuk Onufry“. W otoku wreszcie widnieje napis: „Województwa Podlaskie i Lubelskie — Polubicze, Drelów, Pratulin“.

Medal ten, wykonany przez Tasseta, a odznaczający się artystycznem wykonaniem, został wówczas przez prokuratorję państwa skonfiskowany. Mimo zniesienia konfiskaty przez sąd krajowy, wyższy sąd kraj. we Lwowie orzeczeniem z 24. sierpnia 1875 r. l. 17.446 konfiskatę tę zatwierdził i cały nakład medali zabrał, tak, że z nielicznymi tylko wyjątkami, które dostały się do rąk amatorów, nakład ten znajduje się po dzień dzisiejszy w prokuratorji.

Konfiskata wywołała onego czasu ogromne zdziwienie, a „Dziennik polski“ z 3. września 1875 wystąpił z jurydyczną krytyką, dowodząc, że tak w samym napisie, jak i fakcie wybicia medalu, nie ma ani inkryminowanej „obrazy czci“ caratu, ani „pochwalania nieprawnych i niemoralnych czynów“ (popełnionych przez unitów, ginących za wiarę!). Artykuł wywodził, że według kodeksu austrjackiego, właśnie rząd rosyjski stał się winnym zbrodni naruszenia religji (§. 122 u. k.).

Minęło lat wiele, przyszedł ukaz tolerancyjny i wolność przechodzenia z prawosławia na katolicyzm, a nad medalami wspomnianymi ciągle jeszcze wisi austrjacka konfiskata! Należałoby, aby sam sąd i prokuratorja zechciały znieść owo orzeczenie, wcale zaszczytu ówczesnym władzom nie przynoszące, a medale chełmskie wydać z depozytu sądowego, którejś z instytucji publicznych.

Drukiem „DRUKARNI POWSZECHNEJ“ we Lwowie, ul. Akademicka l. 8.